

3 Poloneza czas zacząć...

Każda studniówka jest najważniejsza i najpiękniejsza. Nie inaczej było w Akademickim Liceum Ogólnokształcącym Politechniki Wrocławskiej. Dowodem – opinie naszych koleżanek i kolegów.

7 Krótki tekst o miłości

14 lutego, czyli Walentynki, dawno straciły swoją tożsamość. Zastąpiła je, niestety, tania masa lukrowanych pudełek z czekoladkami, szmirowatych komedii romantycznych (aczkolwiek „Martwy basen” podobał mnie się i to bardzo), przewiędłych róż i multum żelowało-wych karteluszy.

10 Jak otwarto kod?

Oprogramowaniem open source nazywamy taki software, który udostępniany jest na odpowiedniej licencji pozwalającej na samowolne udostępnianie, oglądanie i modyfikowanie jego kodu źródłowego. Dlaczego zasadniczo powinno nas interesować to, jaką licencję mają programy których używamy? A w praktyce – czemu powinniśmy używać LibreOffice zamiast Microsoft Office?

14 Muzyczne stereotypy

Stereotypy występują wszędzie – w każdej kulturze, subkulturze, dotyczą ras, państw czy poszczególnych osób. Oczywiście są obecne także w świecie muzyki, przy czym większość z nich powstała nie bez przyczyny i ma swoje pewne odzwierciedlenie w rzeczywistości. Jednak są one często wyolbrzymiane i nadmiernie uogólniane, a niektóre są po prostu mitami utwierdzonymi w głowach muzycznej społeczności. Te przekonania wynikają zazwyczaj z niewiedzy i/lub ignorancji, lecz wystarczy się trochę zagłębić w temat i wyjść ze swojej muzycznej strefy komfortu, żeby je łatwo obalić.

22 Historia zapomnianej sławy

Urodziła się daleko, na terenach dzisiejszej Ukrainy pod koniec XIX wieku. Na początku XX wieku była uznawana za najbardziej fotogeniczną aktorkę na świecie. Uważano ją za niezwykłą piękność, a dodatkowo miała śliczny głos. Została wspomniana w Oksfordzkiej Historii Kina Światowego, jej zdjęcia wiszą w Muzeum Kinematografii w Turynie, zagrała w około 60 filmach i była naprawdę znaną sopranistką, występującą m. in. w La Scali, a mimo to niewielu ludzi w ogóle o niej słyszało. Poznajcie Helenę Woyniewicz, która zmieniała mężczyzn jak rękawiczki i zawsze umiała postawić na swoim.

Poloneza czas zacząć...

Każda studniówka jest najważniejsza i najpiękniejsza. Nie inaczej było w Akademickim Liceum Ogólnokształcącym Politechniki Wrocławskiej. Dowodem – opinie naszych koleżanek i kolegów.

OLA SZLACHTA: - „- Poloneza czas zacząć” - wypowiedzieli szanowni prowadzący, po czym kojące nuty w takcie na trzy Wojciecha Kilara poprowadziły ponad setkę tegorocznych maturzystów, aby tradycji stało się za dość. Kolumnę żaków otwierała czcigodna i dobrotliwa Pani Dyrektor Agata Roman. Oprócz staropolskich tańców młodzież zaprezentowała wariacje różnych tańców. Potem zabawa toczyła się bardzo szybko. Szalone zdjęcia w fotobudce, chaotyczne podrygi w rytm letnich hitów pozwoliły zapomnieć o stresie, odpowiedzialności i ciężarze przyszłych wydarzeń związanych z maturą. Wspomnienia wspólnej zabawy będą nam towarzyszyć w całym trudnym, zapracowanym, życiu aż do jego smutnego kresu.

MARCIN WERON: - Godzina trzynasta, sobota... Zaczyna się „chocholi taniec”. Wracam pustym tramwajem, leniwie sunącym po powoli budzącym się mieście. Ludzie w soboty lubią sobie pospać...Jednak mi tej nocy nie dane było spać... A może to wszystko był sen, a ja - zahipnotyzowany manekin w chocholim tańcu. Przy sobie miałem jedynie garnitur i wspomnienia z minionej zabawy. Powróćmy na chwilę do tych szalonych wydarzeń. Szampan wypity, kaganek zapalony, polonez odtąńczony. Podano do stołu, uczniowie jak hieny, rzucili się na rozkładające się truchło kurczaka. Mordu, jaki został dokonany na tym biednym zwierzęciu, nie można wybaczyć...

ANONIM z klasy 3 B: - Wydaje mi się, że studniówka była dla wszystkich niesamowitym przeżyciem. Nie widzę żadnych słabych punktów całego wieczoru. Poczynając od poloneza, przez uroczy występ wieńczący część oficjalną, aż po zabawę do białego rana – wszystko było perfekcyjne. Pary wyglądały pięknie, adekwatnie do poziomu uroczystości, a niektóre kreacje nauczycielek nie odbiegały lub przebijały fantastycznością i poławem stroje uczennic. Na parkiecie ruch nie ustawał do wczesnych godzin porannych tej niezapomnianej soboty.







Wieści z muzeum

Z batorackiego punktu widzenia nie ma miesiąca, w którym nie wspominalibyśmy jakiegoś wydarzenia związanego z historią szkoły. Co w takim razie wydarzyło się w styczniu? Wspomnijmy trzech bohaterów, których historie od lat poruszają całą Polskę do łez.

Miesiąc rozpoczął się 71. rocznicą śmierci Jana Rodowicza „Anody” (matura 1941). Janek uczył się w Batorym w latach 1935-1939, a potem naukę kontynuował na tajnych kompletach organizowanych przez Mieczysława Radwańskiego, ostatniego przedwojennego dyrektora naszej szkoły. Jako harcerz słynnej Pomarańczarni dołączył również do Szarych Szeregów i brał udział w wielu akcjach, w tym jako jeden z dowódców w Akcji pod Arsenalem czy pod Sieczychami (gdzie zginął Tadeusz Zawadzki „Zośka”).

„Anoda” był też żołnierzem Batalionu „Zośka” oraz brał czynny udział w Powstaniu Warszawskim, w czasie którego był kilka razy ranny. Przeżył wojnę, ale po jej zakończeniu nie zaprzestał walki. Nadal stawiał opór okupantom, tym razem sowieckim.

Rodowicz „Anoda” zaraz po wojnie organizował ekshumacje grobów powstańczych znajdujących się w różnych częściach Warszawy. Zabiegał o to, żeby byli pochowani obok siebie na Cmentarzu Powązkowskim.

24 grudnia 1948 roku został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i przewieziony do tzw. celu bezpieczeństwa przy ulicy Koszykowej. Przez trzy tygodnie bestialsko przesłuchiwany i torturowany, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach 7 stycznia 1949 roku. MBP podało, że wypadł z okna, z czwartego piętra.

“Na imię mi było Krzysztof”

22 stycznia poeta żołnierz Krzysztof Kamil Baczyński obchodziłby w tym roku 99. urodziny. Baczyński uczył się w naszej szkole w latach 1930/39. Swoich szkolnych lat nie wspominał zbyt dobrze, uczucia wyraził w opowiadaniu o gimnazjum króla Boobalka I i walce między jego nauczycielami a uczniami.

W czasie konspiracji najpierw służył jako żołnierz w Batalionie „Zośka”, a następnie w Batalionie „Parasol”. Zginął w czwartego dnia Powstania Warszawskiego, zastrzelony przez snajpera w okolicach Placu Teatralnego. Został zapamiętany jako jeden z najwybitniejszych poetów swojego pokolenia.

Fragment wiersza „Rodzicom”, z tablicy pamiątkowej naprzeciwko naszej auli:

*„A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof
I jeszcze ciało - to tak niewiele.”*

Kolejny z pokolenia Kolumbów

24 stycznia urodziny obchodziłby Tadeusz „Zośka” Zawadzki (matura 1939), rówieśnik Baczyńskiego. Tadeusz był wybitną osobowością. Po wielu latach jego wielka miłość, Hala Glińska, opisała go czterema słowami: „młody, piękny, mężny i szlachetny”. Był harcerzem Pomarańczarni, żołnierzem Szarych Szeregów, wielkim przyjacielem „Rudego” i „Alka”. Zaplanował Akcję pod Arsenalem. Był wspaniałym dowódcą, a zginął jak zwykły żołnierz, podczas akcji pod Sieczychami 20 sierpnia 1943 roku. Po jego śmierci powstał batalion nazwany jego pseudonimem, bo wszyscy jego członkowie chcieli być tacy jak on, „Zośka”

*Znów wędrujemy ciepłym krajem,
malachitową łąką morza.
Ptaki powrotne umierają
wśród pomarańczy na rozdrożach.
Na fioletowoszarych łąkach
niebo rozpina płynność arkad.
Pejzaż w powieki miękko wsiąka,
zakrzepła sól na nagich wargach.
A wieczorami w prądach zatok
noc liże morze słodką grzywą.
Jak miękkie gruszki brzmieje lato
wiatrem sparzone jak pokrzywą.
Przed fontannami perłowymi
noc winogrona gwiazd rozdaje.
Znów wędrujemy ciepłą ziemią,
znów wędrujemy ciepłym krajem.
~ Krzysztof Kamil Baczyński*

ANTONINA MAZUREK

Krótki tekst o miłości

14 lutego, czyli Walentynki, dawno straciły swoją tożsamość. Zastąpiła je, niestety, tania masa lukrowanych pudełek z czekoladkami, szmirowatych komedii romantycznych (aczkolwiek „Martwy basen” podobał mnie się i to bardzo), przewiędłych róż i multum żelowożalowych karteluszy.

Mógłbym zacząć od punktu widzenia biologicznego, czyli: przedłużenie gatunku i własnych genów, dymorfizm płciowy, feromony, hormony płciowe, ekstaza, parafilie, zaburzenia na tym tle, uzależnienia, ale kto by chciał o tym słuchać oraz kto o tym nie wie? (W gruncie rzeczy, można przestać to czytać tu, w tym miejscu, bo już dawno zorientowałem się, że moja pisanina jest co najmniej odtwórcza.) Skupmy się może na kulturze (czyt. filmach)? Istnieje przekazywany wszędzie nadużywany model romantycznej miłości, ale po pierwsze mogą istnieć inne podejścia do niego, a po drugie inne rodzaje uczucia.

Nie cierpię komedii romantycznych, a w szczególności polskich. Często są lepione na ślinę, pełno w nich sztuczności i żerują na najniższych instynktach, żeby zarobić na sobie. Ale jak w przypadku każdego znienawidzonego gatunku są wyjątki. Nadmienić należy filmy napisane przez Richarda Curtisa i Norę Ephron, w tym: „To właśnie miłość”, „Bezsensowność w Seattle” lub „Notting Hill”. Świetne są także komedie Billy’ego Wildera w tym „Garsoniera” albo „Pół żartem, pół serio”. Dziełem nietuzinkowym tej dziedziny pozostaje jeszcze „W pogoni za Amy” Kevina Smitha. Inteligentna, wrażliwa, prze zabawna (choć do nie wszystkich może trafić) pozostaje świetną odtrutką na białe plakaty i cekiny.

Truizm - nie tylko komedie romantyczne potrafią opowiadać o uczuciu. Są też filmy po prostu o uczuciu. „Nić widmo” Paula Thomasa Andersona, „Love Story” Ericha Segala, „La la land” Damiena Chazelle - to tylko najprostsze przykłady. Do tematu można też podejść oryginalnie. Trylogia Richarda Linklatera, „Przed wschodem Słońca”, „Przed zachodem Słońca” oraz „Przed północą” opiera się jedynie na rozmowach Julie Delpy i Ethana Hawka. Między kolejnymi filmami miało dziesięć lat, więc

możliśmy obserwować, jak bohaterowie starzeją się i zmieniają. „Piknik pod wiśszą skałą” Petera Weira przepięknie tłumione uczucie ostatecznie wyzwolone wśród buszu. „Scott Pilgrim kontra świat” Edgara Wrighta to... mokry sen każdego nerda. Tytułowy bohater, by zdobyć serce dziewczyny, musi stawić czoła jej siedmiu złych byłych w walce na śmierć i życie, a pokonani przeciwnicy rozsypują się na drobne monety, za pewną siebie dostaje się wypasiony miecz, a głos z offu krzyknie tryumfalnie „K.O.!”. Jeśli zaś mówimy o miłości do osób

tej samej płci, to pośród licznej reprezentacji, składającej się także ze złych dzieł, znajdziemy wybitne i uniwersalne obrazy, takie jak: „Portret kobiety w ogniu”, „Moonlight”, „Tamte dni, tamte noce” czy „Życie Adeli”.

Kolejny truizm - nie istnieje jedynie miłość erotyczna i romantyczna. Godne uwagi i piękne są platoniczna, rodzicielska, przyjacielska, itp. itd. Szczególnie ta pierwsza, co najlepiej przedstawione zostało w filmach „Między słowami” Sofii Coppoli oraz „Ona” Spike’a Jonze (notabene, byli kiedyś małżeństwem).

Pierwszy obraz to historia relacji dwójki osób zagubionych w Tokyo i poszukujących sensu życia, a radość odnajdują dopiero, gdy są razem. Drugi z kolei opowiada o relacji między pisarzem a sztuczną inteligencją, kiedy miłość między nimi rodzi się właśnie na płaszczyźnie ducha, umysłu. Oba filmy chętnie oglądam na Walentynki, bo są ciepłe, inteligentne oraz pozostawiają pewną... nadzieję na lepsze jutro. Moim zdaniem szerzej powinna być omawiana także miłość daleka od tej nazywanej waniliową. Z tym, że trylogia Grey’a nie powinna służyć za punkt wyjścia.

Samymi filmami człowiek nie żyje. Nad harlequiny przełóżcie wiersze Leśmiana, erotyki Collette czy książki Musierowicz



Jak rozmawiać z dziewczynami na prywatkach?

Tyle z kultury (głównie filmów - cicho bądź!), ale też i nie. W gruncie rzeczy twórcy inspirowają się własnymi, ludzkimi przeżyciami, a my czerpiemy garściami z tychże wzorców. No i jest wiele rodzajów miłości (powtarzam się i popadam w truizm). Tak na marginesie: orientacja okazuje się jednak zmieniać wraz z wiekiem podobnie jak gusta oraz jeśli osoby nieheteronormatywne należy tępić, to dlaczego Siła Wyższa zrobiła ich aż tylu? Ciekawostka, święty Walenty był także patronem osób szalonych. Być może dlatego wielu ludzi robi sobie tatuaże typu "Jessica Forever".

Do dziewczyn na prywatkach należy zagaść. Najpierw pogadać o tym, jacy to boscy jesteśmy, że znowu Kardashian została okradziona, że "Kobiety mafii 3 i 1/3" są zajedwabiste, że patrz, jaka słodka focia. Potem prężysz muskuły. Musisz być koniecznie ciachem, takim prosto od cukiernika, z nadzieniem odżywkowo-kentuckyfriedchicelowym. Najlepiej popijaj soczek z foczek. Najlepiej, jeśli mózg masz wielkości fistaszka i rzucasz mięsistymi kurkami na prawo i lewo. Jeśli masz bogatych rodziców i majtki z nieswoim imieniem i nazwiskiem, dostajesz 100 punktów do charyzmy.

Innymi słowy musisz gadać od rzeczy, a jak i to nie podziła, to siłą zaciągasz to toalety i nie bawisz się w ceregiele. Przecież tak się robi.

Nie znaczy nie. Przestańmy udawać. Z jednej strony traktujmy siebie po ludzku i zamiast epatować, eksplorować granice własnych możliwości, narzucać się i traktować innych jak podludzi, zacznijmy odnosić się do siebie z większą empatią, zrozumieniem, bez instagramowego filtra z pyskiem kota lub uśmiezkiem. A z drugiej strony bądźmy rozsądni i asertywni. Są pewne nieprzekraczalne granice.

Powyższa mowa ptaków być może jest reakcją na niezrozumienie życia związkowego moich rówieśników. Nie chodzę na imprezy, nie piję alkoholu... Wielu traktuje mnie jak nudziarza, egocentryka, gburę. W rzeczywistości... boję się. Obraz przedstawiany przez popkulturę kłamie. Związki nie przychodzą tak łatwo. Ludzie nigdy nie są wobec siebie uczciwi, szczerzy, to, co ich trzyma przy sobie kiedyś się skończy. Bez względu na płeć, na osobowość, na upodobania, na orientację, od narodzin po śmierć pozostajemy samotnymi bytami. Istniejącymi jedynie od pieśni do pieśni.



Cześć, nazywam się Kacper i jestem singlem.

Od początku pierwszej klasy liceum zorientowałem się, że jestem daleko w tyle jeśli chodzi o związki. Prawdopodobnie winę za uświadomienie mogą ponosić te wszystkie miłości młodych i pięknych z kart książek i filmów dla nastolatków (tak, czytałem i oglądałem rzeczy z nurtu young ad-ults). Ewentualnie hormony i feromony gatunku homo sapiens, hurtowo wydzielane w okresie nastoletnim. Ostatnio dostępne w wersji elektronicznej. W każdym razie, po kilku napadach klasycznych pięciu faz szoku (zdumienie, złość, szukanie rozwiązań, depresja, akceptacja), zacząłem szukać. Ciężko jednak cokolwiek zrobić, gdy jesteś w nowym środowisku, zwłaszcza, gdy większość twoich nowych kolegów zna się od trzech lat co najmniej. Każda próba kończyła się z kolei porażką, zwłaszcza po odkryciu prawdziwej twarzy danej osoby. Odnosisz wrażenie, że masz do czynienia z kimś inteligentnym, rozrywkowym, ponadkwantowym, a w rzeczywistości tracisz bezpowrotnie czas na kimś zdziwaczkiem, nieodpowiedzialnym...

Lekarstwem okazało się odnowienie relacji ze znajomą z zasadzie podstawówki. Zaczęło się od przypadkowego spotkania na przystanku podczas powrotu ze szkoły, a później... Wspominam to trochę, jak montaż filmowy z "Teenage Talk" St. Vincent w tle. Wyjścia do kina (w tym i na horrory), spacer, długie rozmowy, dwa razy festiwal Nowe Horyzonty, życzenia na święta i urodziny. Ile razy cieszyłem się tylko i wyłącznie z przebywania z nią. Parokrotnie starałem się wmówić sobie, że to tylko przyjaźń, ale z czasem... zacząłem ją kochać. Za to, że jest. Że jest, jaka jest (wydawała mi się). W końcu się przemogłem i wyznałem Jej miłość. Ci, którzy mnie znają dobrze, zauważyli, że od września z przerwami, ale ciągle przeżywam rozstanie. W gruncie rzeczy, do czego mogłoby innego dojść, gdy druga osoba nie odwzajemnia twoich uczuć, list wyjaśniający traktuje za manipulację, a gdy leżysz w szpitalu, ona nie raczy nawet przyjść?

Hybris to suka. Cierpimy na nią wszyscy, bez wyjątku. Ona w parku mówiąca, że nic o niej nie wiem. Ja na AFF wypominający jej nasze rozstanie. Z perspektywy czasu czuję, jak bardzo zraniliśmy się nawzajem, przez własny egoizm. Nie wiem, czy Ona tak bardzo to zniosła jak ja; strzelam, że nie. Zakładam, że jak kilka tygodni temu wpadliśmy



na siebie niechcąc, przeszła z tym do porządku dziennego i nie przejmowała się tym przez resztę dnia. Od czasu do czasu czuję, jak buzuje mi testosteron, który uczyniłby ze mnie hulkopodobną, niezniszczalną maszyną do rozsiewania gburstwa, ale to przechodzi.

To było moja pierwsza poważna relacja romantyczna. Nie wiem, jakie będą następne. Być może popadam w paranoję, gdy przyrównuję swoich znajomych do Niej. Nieraz zdarza mi się, że obserwując całujące się pary na korytarzu szkolnym, zazdroszczę im, nie wiem - pozornego szczęścia? Prawdopodobnie, muszę się pogodzić z samotnością, bez względu na to do kogo i co czuję. Skupić swoją energię na byciu... dobrym człowiekiem, który przeżyje wspaniałe życie. Ale ta historia może mieć lepsze, relatywnie lepsze zakończenie. Być może wystarczy poczekać na tego kogoś albo być miłszym dla ludzi.

At the end...

Zakończę w mało oryginalny sposób. "Annie Hall" Woody'ego Allena to dla wielu, w tym i mnie, najlepsza komedia romantyczna wszech czasów. W przeciwieństwie jednak do równie wybitnego "Kiedy Harry poznał Sally", czy też w moim odczuciu gorszego polskiego produktu masowego, kończy się... w gruncie rzeczy życiowo. Alvin i Annie rozstają się i idą w swoją stronę. Gdy bohaterowie po jakimś czasie spotykają się przypadkowo i wspominają stare czasy, widz w sekwencji montażowej przypomina sobie o ich wspólnych chwilach. Pojawia się pewien podskórny żal, że tak cudownie pasująca do siebie i neurotyczna para nie może być razem. Nie chcą, mimo że chcą. Ostatecznie żegnają się. Na zakończenie Woody Allen opowiada z offu żart, że facet przychodzi do psychiatry i mówi, że jego brat myśli, że jest kurą. Lekarz na to: "Dlaczego nie pośle pan go do zakładu?". A facet: "Zrobiłbym to, ale potrzebuję jajek." I być może na tym polegają związki. Mimo ich irracjonalności, absurdalności, większość z nas je ciągnie, bo być może potrzebuje jajek.

KACPER KOWALSKI – 3 A



Jak otwarcie kod?

Oprogramowaniem open source nazywamy taki software, który udostępniany jest na odpowiedniej licencji pozwalającej na samowolne udostępnianie, oglądanie i modyfikowanie jego kodu źródłowego. Dlaczego zasadniczo powinno nas interesować to, jaką licencję mają programy których używamy? A w praktyce – czemu powinniśmy używać LibreOffice zamiast Microsoft Office?

Początki ruchu open source były pełne emocji – zrezygnowania, gniewu, a nawet poczucia, że świat idzie w złym kierunku. Pierwsze programy komputerowe tworzone były przez grupy hobbyistów i chętnie udostępniane w całości wszystkim zainteresowanym, a także chaotycznie modyfikowane przez dowolnego członka środowiska.

Wzrastała złożoność tworzonego oprogramowania, ale jednocześnie bywało ono objęte prawami autorskimi. Nagle rozwój technologii zaczął zmierzać do komercjalizacji. Hobbyści nie mogli już dłużej modyfikować wszystkiego tak, jak im się to podobało – zaczęto udostępniać tylko binarne wersje, w których kodu nie można było nawet podejrzeć.

Społeczność szybko zrealizowała, gromadząc się w Free Software Foundation mającej zajmować się promowaniem idei wolnego kodu. Nie odniosła ona jednak znaczących sukcesów, co było przyczyną irytacji wielu hobbyistów. Kilku z nich (m. in. Eric S. Raymond, Larry Augustin, Bruce Perens) rozpoczęło własny ruch open source oparty na wytycznych FSF.

Zwrócili na siebie uwagę ówczesnego sektora oprogramowania, zarażając swoimi przekonaniami niektóre firmy, np. Netscape, który udostępnił swój program na zasadach open source. Ich działania przybrały na sile również podczas recesji lat 2001-2003, kiedy to darmowe oprogramowanie było najbardziej potrzebne. Do współczesnych, znanych, przykładów programów na takiej licencji należą np. GIMP, LibreOffice, czy Firefox. Dlaczego powinniśmy ich używać w miejsce komercyjnych odpowiedników?

W takim rozwiązaniu każdy może wziąć udział w procesie budowy i rozwoju software'u. Kod źródłowy jest dla wszystkich otwarty, w przeciwieństwie do komercyjnych programów. Często nie pozwalają one na używanie na innym sprzęcie (jak właściwie cały ekosystem Apple), nie ma możliwości ich samodzielnej edycji, a przenoszenie bez opłaty licencyjnej jest niemożliwe.

Ważne jest to, że co do zasady programy open source są bezpłatne, a komercyjne rozwiązania pozostają własnością firmy, która je produkuje. Często otwarte oprogramowanie niewiele różni się funkcjonalnością od płatnych odpowiedników, a nawet posiada inne, przydatne funkcje. Społeczność nieustannie je ulepsza, poprawiając potencjalne błędy i szybko udostępniając programy również na inne platformy.

Tymczasem biznesowe aplikacje mają ukryty kod, więc klienci nie mogą zobaczyć, jak zostały zrobione. Często prowadzi to do wątpliwości związanych z bezpieczeństwem danych i prywatnością użytkowników. Zamiast po prostu je pobierać, musimy zapłacić, a i tak nie jesteśmy właścicielami praw autorskich.

Czasem ludzie po zaznajomieniu się z takimi argumentami są przekonani, że open source nie ma racji bytu, bo nie pozwala producentom na zarobek. Nic bardziej mylnego. Chociaż warunek jest taki, że kod jest otwarty, to autorzy nadal mają wiele możliwości uzyskania wynagrodzenia za swoją pracę, a przy okazji pomagają w rozwoju technologii. Kod często może być potem wykorzystany w innych rozwiązaniach, co ułatwia pracę innym programistom.

Wiele firm udostępnia wszystkie swoje zasoby na otwartej licencji, a zarabia np. na usługach doradczych, oddzielnych licencjach na użytek biznesowy, płatnym certyfikowaniu, dodatkowym funkcjom, a także na usługach hostowania swoich rozwiązań. Przykłady można mnożyć – walabag, Nextcloud albo Wordpress.

Kiedy dostrzegamy już korzyści z używania otwartego oprogramowania i jesteśmy przekonani, że warto byłoby spróbować się stopniowo na takowe przenieść, wystarczy po prostu pobrać sprawdzone zamienniki i zobaczyć, czy się to sprawdzi. Szersze przedstawienie takich programów to temat na osobny artykuł, który postaram się wkrótce opublikować. Tymczasem sami możecie próbować stawiać pierwsze kroki w świecie, w którym programy nie są tylko skrycie strzeżoną własnością korporacji.

MAKSYMILIAN SKICA - 1 DL



Jak otworzyć swój sprzęt?

Starłem się Was przekonać o wyższości oprogramowania open-source nad jego alternatywą z zamkniętym kodem. „Ekstra, fajnie, ale jak niby miałbym to zrobić?” - możecie pomyśleć. Ale już za chwilę pulpit Waszego urządzenia wypełnią lśniące ikony nowych, otwartych aplikacji. Wszystkie z przedstawionych tu programów znajdziecie w internecie, oczywiście bezpłatnie.

NIE JESTEŚMY SKAZANI NA PAKIET

Zacznijmy od obowiązkowego elementu każdego komputera – pakietu aplikacji biurowych, który dla wielu osób jest synonimem Office’a Microsoftu. Na szczęście nie jesteśmy skazani na pakiet, którego aktualizacje zmieniają tylko wygląd i układ ikonki oraz pasków. Wyśmienitą alternatywą jest pakiet LibreOffice.

Nie dość, że jest bezpłatny i ma otwarty kod, to posiada wszystkie funkcje, z których mógłbyś kiedykolwiek chcieć skorzystać. Jest bardzo dobrze zoptymalizowany i jego szybkość stoi na wysokim poziomie. Warto od ręki go teraz zainstalować – obsługa nie różni się bowiem wiele od Microsoftowego odpowiednika i nawet nietechniczni ludzie nie odczują różnicy. Oczywiście, nie licząc zwiększonej szybkości i stabilności.

BŁYSKOTLIWA FUNKCJONALNOŚĆ

Nie wierzę jednak, że ktokolwiek najwięcej czasu spędza w pakiecie biurowym. Najważniejszym programem w XXI wieku jest oczywiście przeglądarka internetowa. Zamiast Google Chrome warto zamienić ją na Brave Browser. Brave’a polecałbym, nawet gdyby miał zamknięty kod źródłowy – jego funkcjonalność jest po prostu błyskotliwa. Oprócz zwyczajnych funkcji przeglądarki blokuje on bowiem reklamy i sprawia, że surfowanie po internecie jest szybsze (znacznie!), bezpieczniejsze i mniej bateriożerne. Co najlepsze – wygląda prawie jak Chrome, bo jest oparty na otwartych fragmentach jego kodu. To sprawia także, że zainstalujemy na nim rozszerzenia z Chrome Web Store. Dostępny

jest zarówno na komputery i urządzenia mobilne.

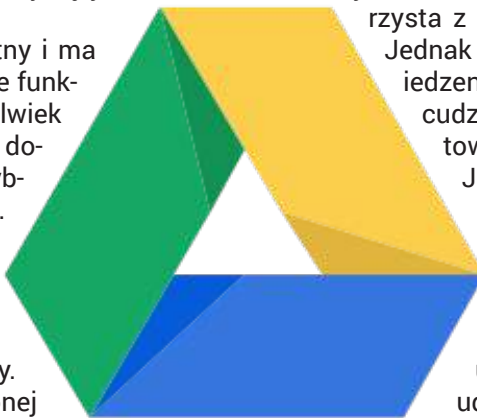
CHMURA TO CUDZY KOMPUTER

Noszenie do szkoły prezentacji na pendrive’ach już dawno wyszło z mody – teraz każdy korzysta z Dysku Google albo innej chmury.

Jednak chmura, jak przypomina powiedzenie informatyków, to po prostu cudzy komputer. W dodatku z limitowaną, często płatną pojemnością.

Ja przeszedłem na Nextclouda. To nie jest rozwiązanie dla każdego – wymaga skonfigurowania własnego serwera, ale już ustawiony, działa wyśmienicie i doskonale zastępuje dysk online. Wiele firm używa go wewnętrznie, aby nie udostępniać korporacjom takim jak Google (Dysk), Microsoft (OneDrive)

lub Apple (iCloud) wrażliwych danych biznesowych. Może ALO również powinno wdrożyć taki system? Jeśli kogoś przerasta konfiguracja NextClouda (nic dziwnego), może zainteresować się usługą Mega. Działa jak Dysk Google, ale wszystkie pliki są szyfrowane po stronie klienta i 50GB pojemności dostaniemy gratis.



Office 365

SYNCHRONIZACJA DZIAŁA WZOROWO

Robię tonę notatek, które czasem pełnią funkcję mojego „drugiego mózgu”. Dlatego od zawsze zależało mi na ich bezpieczeństwie, ale jednocześnie wygodzie ich tworzenia. Długo używałem Evernote'a, ale jego bezpłatna funkcjonalność jest mocno ograniczona i nie czułem się komfortowo ze świadomością, że mój mózg jest przechowywany na komputerach potężnej korporacji. Jego miejsce szybko zastąpił Simplenote (stworzony przez firmę stojącą za WordPressem), który jest open-source i charakteryzuje się dużym minimalizmem. Okazało się jednak, że zbyt dużym, np. do notatek nie można dodawać załączników. Za to synchronizacja działała wzorowo, więc jeśli komuś zależy na prostocie i uczuciu, że wszystko po prostu działa, to jest aplikacja dla niego. Z kolei na ten moment korzystam z Joplina, który jest szyfrowany i synchronizację przeprowadza poprzez wskazany przeze mnie serwer, czyli moją instancję NextClouda.

SYSTEM DZIAŁA SZYBCIEJ

Jeśli już zainstalowaliście wymienione aplikacje w miejsce komercyjnych na Waszym komputerze i poczuliście tętniącą wolność, muszę Was zasmucić – system Microsoft Windows nie ma otwartego kodu. Oczywiście przemilczę użytkowników Maców. Zmiana systemu na pewno brzmi przytłaczająco, ale to może to być dobry pomysł. O ile nie jesteście zaciekłymi graczami i nie używamy egzotycznych programów (np. AutoCAD), Ubuntu (jedna z dystrybucji Linuxa) spełni swoją rolę wzorowo. Design jest znacznie bardziej estetyczny, a cały system działa po prostu szybciej. Komputer nie zaczyna z czasem zwalniać, jak często ma to miejsce na Windowsie. Dodatkowo bezpieczeństwo jest na nieporównywalnie wyższym poziomie, wielu użytkowników nawet rezygnuje z antywirusa!

Warto korzystać z rozwiązań open-sourcowych, o ile wystarczają na nasze potrzeby. Zaczniij od pobrania chociaż jednej z poleconych aplikacji, a szybko odkryjesz otwarty, wolny świat, pełen lepszych zamienników drogich aplikacji. A jeżeli coś nie będzie Ci odpowiadać, zachowasz możliwość dowolnej jej modyfikacji i kopiowania.

MAKSYMILIAN SKICA - 1 D



open source

1 C, wystąp!

Uczniowie klasy 1 C, w części absolwenci ZSA Politechniki, to zespół ciekawych osobowości. Poprosiliśmy ich o coś w rodzaju wiwisekcji, czyli o rozmowy uczniów 1 C z uczniami... 1 C.

WIOŚLARZ

- Jak zaczęła się Twoja przygoda z wiosłami? - Gaspar Sekula zapytał Szymona Kowalińskiego, kolegę z klasy.

SZYMON KOWALIŃSKI: - Dwa lata temu, po półrocznym uczęszczaniu na fakultet z wiosłarstwa w Gimnazjum Akademickim Politechniki Wrocławskiej, otrzymałem zaproszenie na trening, kiedy Pan Profesor Jakub Szymerowski zbierał zawodników do ósemki. Spodobało mi się, mimo że w sezonie letnim, od wiosny do jesieni, trenujemy 99 procent czasu na wodzie w różnych łódkach. Natomiast w sezonie zimowym trenujemy na ergometrach na siłowni oraz basenie wiosłarskim. Czasami do treningu włączane są rower i bieganie.

- Prof. Szymerowski znany jest z powiedzenia: "Jeśli ktoś nie lubi się zmęczyć, niech lepiej wybierze inny fakultet". To prawda?

- Zgadzam się z tym stwierdzeniem, gdyż wiosłarstwo jest ciężkim fizycznie sportem. Bez odpowiedniej techniki łódka płynie wolniej przy dużo większym zmęczeniu. Kiedy trenujemy na ergometrach, sprawność fizyczna odgrywa pierwszoplanową rolę. Prof. Szymerowski mówi: "Medale rozdaje się w zimie", faktycznie – okres zimowy to ciężka harówka. Jest trudno, ale masz przynajmniej świadomość, że to przyniesie wyniki.

SAKSOFONISTA

Piotrek Strycharczyk, z grupy nowych uczniów "serowca", zdecydował się pewnego dnia grać na saksofonie.

- Dlaczego? - zapytała Kasia Latacz.

PIOTR STRYCHARCZYK: - Byłem po prostu pod wrażeniem brzmienia, jakie potrafili wydobyć z tego instrumentu profesjonalści. Gram już pięć lat, od czterech w szkole muzycznej I stopnia. Poszedłem do tej szkoły, ponieważ byłem bardzo zdezorientowany, aby nauczyć się gry na saksofonie. Poznałem tu wielu ciekawych ludzi, z którymi wciąż utrzymuję kontakt. Nauczyłem się dodatkowo lep-

iej gospodarować czasem, dzięki czemu nauka w liceum jest łatwiejsza. Na saksofonie nauczył mnie grać mój nauczyciel, Aleksander Bobrowicz, który był bardzo wymagający, ale potrafił przekazać dobrze odpowiednią wiedzę. Dzięki temu zdobywałem wyróżnienia w licznych konkursach. W realizowaniu planów wspierali mnie rodzice i kuzyn, który też gra na saksofonie.

PIŁKARZ

Kacper Janus rozmawiał z kolei z Marcinem Borkowskim, wielkim fanem piłki nożnej.

MARCIN BORKOWSKI: - Kiedy byłem małym chłopcem, dziadek nauczył mnie podstaw piłki nożnej i niezwykle to mnie urzekło. Jestem kibicem Śląska Wrocław oraz Bayernu Monachium. Śląsk to klub, który mnie wychował, a w Bayernie gra Robert Lewandowski; zawsze podobał mi się styl tego zespołu. Z meczów, które dotychczas rozegrałem, dobrze pamiętam ubiegłoroczne starcie z odwiecznym rywalem – FC Wrocław. Była to konfrontacja na wagę mistrzostwa ligi. Ustrzeliłem wtedy hat-tricka i zaliczyłem asystę, a mecz wygraliśmy 4:0. To było fascynujące!

TAŃCZĄCA Z OGNIEM

Wiktoria Wojdyło interesuje się... kuglarstwem. - Czym jest kuglarstwo? - pyta Maja Kuebler.

WIKTORIA WOJDYŁO: - To zabawa z ogniem i... ryzykiem, rodzaj akrobacji wykorzystujących połączenie tańca z ogniowymi atrybutami. Trenuję od sześciu lat, zazwyczaj 3-4 godziny ćwiczeń bez ognia i 3-4 godziny występów z ogniem. Zainspirowała mnie koleżanka, która zawiozła żółtodzioba na obóz i pokazała kilka prostych akrobacji. Trenujemy zazwyczaj na zamkniętych torach kolejowych za Wrocławiem, ponieważ tam nie ma praktycznie ryzyka zaprószenia ognia.

- Gdzie można zobaczyć ogniowe występy?

- Większość pokazów odbywa się na wrocławskim Rynku, zazwyczaj raz w tygodniu, ale nie dysponuję stałym grafiką.

Muzyczne stereotypy

Stereotypy występują wszędzie – w każdej kulturze, subkulturze, dotyczą ras, państw czy poszczególnych osób. Oczywiście są obecne także w świecie muzyki, przy czym większość z nich powstała nie bez przyczyny i ma swoje pewne odzwierciedlenie w rzeczywistości. Jednak są one często wyolbrzymiane i nadmiernie uogólniane, a niektóre są po prostu mitami utwierdzonymi w głowach muzycznej społeczności. Te przekonania wynikają zazwyczaj z niewiedzy i/lub ignorancji, lecz wystarczy się trochę zagłębić w temat i wyjść ze swojej muzycznej strefy komfortu, żeby je łatwo obalić.

METAL – muzyka szatana

Tego chyba nie trzeba nikomu przedstawiać. Jest to twierdzenie zakorzenione w kulturze (szczególnie religijnej oczywiście) od początku istnienia gatunku – i w gruncie rzeczy nie bez powodu. Metal odróżniał się od innych podgatunków rocka atmosferą mroku i zła, a jego prekursorzy – Black Sabbath – w swojej pierwszej płycie bynajmniej nie stworzyli muzyki do wspólnego słuchania na randkach. Motyw szatana również się pojawiał, jednak jak mówił np. Ozzy Osbourne, były wokalista wspomnianego zespołu, często wbrew ich woli. Chociaż dostawali zaproszenia na czarne msze, a pod ich hotelami przesiadywali sataniści, to oni nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Oczywiście z biegiem czasu pojawiły się zespoły takie jak Venom, które bynajmniej nie ukrywały swojego zafascynowania diabłem, nie mówiąc już o blackmetalowym ruchu w Skandynawii, która jest dość dobrze w społeczności metalowej. Nie da się ukryć, że okultystyczne i satanistyczne tematy są istotną częścią historii gatunku. Jednak kategoryzowanie i wrzucanie wszystkiego do jednego worka twierdzeniem, że metal (jako całość) to muzyka diabła, jest moim zdaniem zwyczajnie oznaką ignorancji – szczególnie że członkowie licznych zespołów metalowych są... osobami wierzącymi (choćby Dave Mustaine z Megadeth). Istnieje tyle różnych podgatunków metalu, że gdybym miał napisać jedno zdanie o każdym to pewnie wyszedłby z tego osobny artykuł – i każdy reprezentuje różne rzeczy, przy czym w większości nie są to wartości satanistyczne.

Ludzie wierzący: nie bójcie się słuchać Metalliki, czy Iron Maiden, bo z czczeniem diabła mają one mniej więcej tyle wspólnego, co Kubuś Puchatek!

RAP – „muzyka” bez tekstu

Oj tak, znak naszych czasów. Wiadomo powszechnie, że wraz z popularnością przychodzi hejt, a ponieważ obecnie to właśnie rap króluje na listach przebojów, to nic dziwnego, że spada na niego wiele niepochlebnych opinii (szczególnie wśród środowisk rockowych/metalowych). To, że utwory mające na celu osiągnąć znaczący sukces pisze się dziś nie dla tekstu, a dla brzmienia, nie jest żadną tajemnicą. Słuchając takich utworów, czasem najlepiej wyłączyć mózg, bo w przeciwnym razie zaleje nas fala żenady wypływająca z kolejnego tekstu o pieniądzach, kobietach, samochodach, narkotykach, biżuterii (niepotrzebne skreślić). Jednak problemem dzisiaj jest to, że ludzie, którzy nie słuchają rapu, nie chcą się do niego przekonać właśnie z przekonania o tym, że muzyka ta nie zawiera żadnego przekazu, albo że to w ogóle nie jest muzyka, bo nie jest śpiewana (wiem z doświadczenia). Ale wystarczy cofnąć się dwadzieścia lat wstecz i posłuchać Tupaca, Biggiego, Nasa, Rakima. Możecie mi wierzyć na słowo, znajdziecie tam przekaz – sporo przekazu. Zresztą po co się cofać – dziś również jest wielu raperów genialnych zarówno technicznie jak i lirycznie, np. Kendrick Lamar, Joyner Lucas, Logic, NF. Każdy z nich porusza w swoich tekstach tematy, które bynajmniej nie ograniczają się do chwalenia się dobytkiem (Kendrick dostał w końcu Pulitzera!). Świetnie rozumiem, że można nie lubić rapu - o gustach się nie dyskutuje. Ale nie warto być do niego bezzasadnie uprzedzonym, bo może się okazać, że omija nas mnóstwo wspaniałej muzyki.



AUTOTUNE – narzędzie dla beztalencia

To będzie taki trochę uzupełnienie poprzedniego punktu. Znam sporo osób, które na słowo „autotune” reagują alergicznie (sam do takich należałem). Wyraźna modyfikacja i korekcja ludzkiego głosu to prawdopodobnie druga obok niezbyt ambitnych tekstów cecha tak popularnego dziś trapu. Faktem jest, że autotune jest rzeczą używaną w każdym gatunku muzycznym, od popu po metal, przy czym jest używany w różnym zakresie – zazwyczaj po to, żeby ukryć drobne niedoskonałości w „żywym” wokalu, aby nagranie na płycie było idealne. Nie ma w tym nic złego (no, chyba że te nie doskonałości nie są takie drobne...). Tutaj jednak chcę się skupić na użyciu autotune’a tam, kiedy słychać go wyraźnie, czyli w utworach, w których słowa wręcz ślizgają się i pływają w tym efekcie. Dla wielu osób brzmi to jakby ktoś zwyczajnie nie potrafił śpiewać i chciał to ukryć. Często tak właśnie, niestety, jest, a wielu raperów używa autotune’a po to, żeby był, nawet w partiach, w których jest on zwyczajnie zbędny. Jednakże właśnie wspomniany efekt „robotyzacji” ludzkiego głosu wcale nie był początkowo używany w wymieniony wyżej sposób. Raper T-Pain, który go spopularyzował, śpiewać potrafił doskonale, co udowodnił chociażby w swoim akustycznym występie. Jednak w jego muzyce autotune służył temu, aby wprowadzić oryginalność i zupełnie nowe brzmienie. Jego tropem szybko poszedł chociażby Kanye West, który wykorzystywał ludzki głos do granic możliwości. Dzisiaj wielu raperów rzeczywiście ukrywa pod prostym, tanim autotunem swoje ograniczone możliwości wokalne. Jednak wciąż są na scenie artyści (nawiasem mówiąc również często hejtowani za modyfikowanie głosu), którym efekty służą nie tylko trafianiu w ton, ale wprowadzeniu czegoś do swoich utworów, tworzeniu niepowtarzalnej atmosfery, której nie uzyska się za pomocą naturalnego głosu. Do takich raperów zaliczam Trvisa Scotta, który moim zdaniem jest jednym z najbardziej kreatywnych użytkowników autotune’a oraz Post Malone’a, w którego muzyce efekty sprawiają, że wokal wręcz wtapia się w podkład, czyniąc utwór hipnotycznym i relaksującym. Z kolei na polskiej scenie chciałbym wyróżnić np. Szpaka, który autotunem uzyskuje efekt dokładnie odwrotny – korekcja połączona z potężnym pogłosem i nakładaniem na siebie kilku warstw wokalu dodaje jego głosowi intensywności i powoduje, że refreny uderzają słuchacza jeszcze mocniej. Wszystko to można by było w sumie podsumować jednym stwierdzeniem: autotune to narzędzie, które czasem do utworu pasuje, a czasem nie. I zanim się go użyje, należy nauczyć się widzieć tą różnicę.

STARSZE = LEPSZE

No dobrze, to nie jest TY-LKO muzyczny stereotyp, ale jest również powszechne w tym środowisku, co w filmach/książkach/serialach itp. I dotyczy to zarówno samej muzyki, jak i artystów, którzy ją wykonują. No bo ile razy się słyszało że „dzisiaj muzyka to szajs, kiedyś to było” albo „urodziłem się w złym pokoleniu”. No, albo „[wstaw zespół] skończył się na [wstaw jeden z pierwszych czterech-pięciu albumów tego zespołu]”. Często jest przy tym tak, że osoby tak mówiące nie poświęciły czasu na przeglądnięcie nowszego dorobku artystów (bo jak po prostu nie podoba im się nowa płyta po przesłuchaniu jej, to ok). Niestety, duża część społeczeństwa - w szczególności po dwudziestym roku życia - ma w głowie przekonanie, że muzyka wypuszczona po roku 2000 nie jest nic warta, albo jest niczym w porównaniu do muzyki lat 90. lub 80. Ale jak to jest możliwe, skoro przemysł muzyczny rozwinął się pewnie dziesięciokrotnie od tamtego czasu, możliwości w tworzeniu jest więcej niż kiedykolwiek, a nauczyć się grać na instrumencie lub produkować muzykę może praktycznie każdy we własnym pokoju przed komputerem? Po prostu zmieniły się trendy, co oznacza, że muzyka popularna 20, 30, 40 lat temu bardzo różni się od hitów podbijających listy przebojów w roku 2020. Czy to oznacza, że musimy zamykać się w małym pokoiku ze albumami sprzed pół wieku i płakać z tęsknotą? Nie, wystarczy wejść w internet i poszukać – do dziś działa wiele mniej lub bardziej znanych zespołów mocno inspirowanych muzyką przeszłości. Nie chcę nawet wspominać o pogłoskach jakoby rzekomo „rock” i „gitara” były umarłe – nie, nie są. Są wciąż żywe, podobnie jak wiele innych gatunków popularnych przed laty, których tradycja jest wciąż kontynuowana przez młodych, zainspirowanych przeszłością artystów. Greta van Fleet, Kingfish, Kenny Wayne Sheppard – można by było długo wymieniać artystów z różnych gatunków, od bluesa do rapu, którzy wciąż tworzą muzykę mogącą przenieść nas kilkadziesiąt lat wstecz, chociaż powstała w ciągu ostatniej dekady. Jednocześnie działa mnóstwo artystów reprezentujących czasy współczesne, którzy, choć są naprawdę muzycznie uzdolnieni, to zbierają mnóstwo hejtu chociażby za sam fakt wystąpienia w radiu (mam tu na myśli np. Eda Sheerana). Zresztą, kto wie, może za kilkadziesiąt lat będziemy znowu narzekać, mówiąc: „Ehhh... w 2020 to była muzyka, nie to co teraz”. I znów zapewne będziemy w stanie znaleźć artystów zainspirowanych dzisiejszymi gwiazdami, które przeniosą nas w stare, dobre czasy...

POLYPHIA

Przyszłość gitary – tak określił Tima Hensona, jednego z gitarzystów zespołu Polyphia, Tyler Larson z kanału Music is Win. No i powiem krótko – nie mogę się z nim nie zgodzić.

Niespodzianka

Z grą Tima spotkałem się po raz pierwszy pod koniec roku, kiedy na youtube wyszedł film „The biggest shred collab in the world III” zreszający ponad dwudziestu członków gitarowej społeczności. Henson również wziął w tym udział i w mojej skromnej opinii jego solo było jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym ze wszystkich. Nie dlatego, że było najszybsze lub najgłośniejsze (bo nie było). Było najbardziej oryginalne. Czymś, czego nigdy wcześniej nie słyszałem. Zagrane do bardziej hip-hopowego niż rockowego podkładu, niezwykle melodyczne i natychmiast przykuwające uwagę. Doszedłem do wniosku, że muszę sprawdzić jego muzykę. Jakie było moje pozytywne zaskoczenie, kiedy odkryłem, że nie jest on „youtuberem” (tak jak większość osób ze wspomnianego filmu) ale członkiem właśnie zespołu Polyphia. A jeszcze bardziej się ucieszyłem, kiedy usłyszałem więcej muzyki z dorobku tego zespołu – bo tak jak się spodziewałem, brzmi jak nic innego na świecie.

Dać szansę innym

Oczywiście skład Polyphii nie kończy się na Hensonie. Drugim gitarzystą jest Scott LePage, basistą Clay Gober, a perkusistą Clay Aeschliman. I chociaż to Tim zazwyczaj zbiera większość chwały jako najbardziej rozpoznawalny członek zespołu, to uważam, że cała pozostała trójka jest potwornie niedoceniana, chociaż umiejętności mają również nie z tej ziemi. LePage perfekcyjnie uzupełnia się z Hensorem, przy czym nie da się wyróżnić wśród nich gi-

tarzysty rytmicznego lub prowadzącego, ponieważ często wymieniają się tymi rolami. Bas Gobera, chociaż jak to w świecie rocka bywa, jest często niedoceniany i zepchnięty na drugi plan przez gitary, to ich grę dopełnia idealnie, dodając często również wiele od siebie. Z kolei Aeschlimann jest naprawdę genialnym perkusistą, który wykorzystuje bębny nie jako metronom, ale jako osobny, samodzielny instrument – i robi to znakomicie.

Wszystkie smaki dźwięków

Muzykę Polyphii Wikipedia określa jako rock progresywny, ale mi ciężko ich zaliczyć do jednego gatunku – ta muzyka łączy w sobie elementy progresji, metalu, hip-hopu, popu, funku, muzyki elektronicznej, a także muzyki klasycznej, której covery na youtube pomogły im się początkowo wybić. Ich utwory są w zdecydowanej większości instrumentalne, ale melodie przez nich tworzone wyrażają często równie wiele, co najpiękniejsze wiersze. Myślę, że każdy znajdzie w ich repertuarze coś dla siebie – niezależnie czy lubi się pop czy metal, utwory smutne czy wesołe. Ale przede wszystkim muzyka Polyphii spodoba się tym, którzy lubią oryginalność, spojrzenie na sztukę z innej perspektywy. I chciałbym wrócić teraz do zdania Tylera Larsona z początku artykułu – i trochę je zmienić. Według mnie nie tylko Tim Henson, ale cała Polyphia jest przyszłością muzyki gitarowej. A jeżeli tak to ma wyglądać, to ja nie mam nic przeciwko.

BARTOSZ KACZMAREK – 1 A



Wyrywacz serc

Geneza tej historii do dziś mrozi krew w żyłach. W 1606 roku w miejscowości Frankenstein na Nieder Schlesien wybuchła epidemia „zarazy morowego powietrza”. W jej wyniku zmarło ponad dwa tysiące osób, a więc około jednej trzeciej mieszkańców miasteczka.

Jak się później okazało, za wszystkim miała stać ósemka grabarzy. Na torturach przyznali się, że pod osłoną nocy wykradali z grobów ciała, a te proszkowali razem z zegarami. Truciznę mieli rozsypywać na m. in. na progach domów i klamkach, stąd skala epidemii. Sprawców oraz ich wspólników skazano na śmierć w męczarniach, a afera grabarska odbiła się echem po całych Niemczech i szczegółowo opisywano ją w gazetach.

Dwieście lat później, nad Jeziorem Genewskim w mroczne, chłodne lato, prawdopodobnie usłyszała ją Mary Shelley. I tak zaczęło się frankensteinowanie.

Tango kwas, łączy nas

Chociaż 29. listopada minął prawie miesiąc od Halloween, wyraźnie było czuć ten przytłaczający nastrój w Capitolu, typowy dla jesiennych wieczorów. Nie zabrakło prądu, budynki nie nawiedziły duchy, a korytarzami nie przechadzały się zgraje zombie (choć w sumie... Ale o tym może później).

Nie. Po prostu wystawiono „Frankensteina”.

Napisać, że ten musical to idealna rozrywka na długie, ponure wieczory najciemniejszych miesięcy w roku, to jak napisać, że „Mistrz i Małgorzata” jest, hm... super.

To po prostu za mało.

Nie należę do fanek horrorów i nie sięgam po takie książki – nic więc dziwnego, że nigdy nie miałam w dłoniach opus magnum Mary Shelley. Mimo to lubię historie z dreszczykiem. Wtedy można poczuć nieszkodliwą, ekscytu-

jącą dawkę strachu, o której ciągle potem się myśli. I tak, dokładnie tym jest „Frankenstein” w reżyserii Wojciecha Kościelniaka. To czarna komedia, tylko że na deskach teatru.

Tym razem akcja powraca do miejsca, w którym wszystko się zaczęło – na Schlesien, w okolicy Breslau. Wiktor Frankenstein rozpoczyna naukę na studiach i poznaje Elżbietkę i Henryka. Komiczne trio nie raz pakuje się w kłopoty w rytm „Tanga Kwas” i szuka swojego miejsca w wielkim świecie. Chłopaka pasjonuje dzieło stworzenia i przywracanie do życia – najpierw much, a potem ludzi. W ten sposób powstaje Monstrum, zwane również Frankensteinem. Jego istnienie spowoduje na bohaterów coraz więcej kłopotów, a wszystko przez pomyłkę współpracownika Wiktora – mężczyzna kradnie (dla potwora) z uczelni po prostu nie ten mózg co trzeba... W ten sposób Frankenstein otrzymuje umysł doświadczonego mordercy, a nie geniusza z Technische Hochschule Breslau.



„Nie nadajesz się...”

Widz dostaje ogromny zastrzyk mroku już na samym początku, gdy na scenę wkracza chór w czarnych płaszczach, śpiewający o głównych bohaterze – Wiktorze Frankensteinie. Potem ciemność jest coraz bardziej intensywna, gęsta. No i coraz częściej miesza się z capitolowskim humorem. Niejednokrotnie śmiech u widza wywołuje nieporadne zachowanie Monstrum, w tej roli Cezary Studniak, które mimo wszystko łaknie akceptacji ludzi i miłości, jakiej nie dostaje od swojego pana, a nawet innych ludzi. Frankenstein czasem nawet zapuszcza się do lasu, w którym spotyka przypadkowych ludzi. Potem ich oczywiście zabija. Nie zapominajmy o jego mózgu urodzonego mordercy, bo przecież to on wszystkiemu jest winny. Frustracja rośnie we „Frankiem” z każdym dniem, bo widzi, że już zawsze będzie sam. Ludzie są dla niego bez serca. Być może to właśnie dlatego Monstrum wrywa je swoim ofiarom. Żeby tak było i w przenośni, i dosłownie.

W Kwasowym Trio najbardziej komiczną postacią jest Henryk. Chłopak szuka swojego życiowego powołania wśród setek tysięcy profesji. Chce być naukowcem, albo dziennikarzem, albo policjantem, albo żołnierzem, albo księdzem, albo... Ale zawsze słyszy od przyjaciół, że się nie nadaje. Zdesperowany zostaje wykładowcą. Mówi te same słowa, co jego profesor – o prawdach, półprawdach i nieprawdach. Wskazuje palcem, kto się nie nadaje. Henryk to postać jednocześnie zabawna, ale mająca w sobie dużo smutku. Mimo to wybucha się śmiechem, gdy na zawołanie Elżbiety zjawia się w sutannie i z Biblią w ręku.

Niesamowita jest też Justyna Szafran, która gra matkę Wiktora. Aktorkę miałam przyjemność oglądać już w roli Narratorki w „Mistrzu i Małgorzacie”. Tym razem, we „Frankensteinie”, kobieta wkracza do akcji w najmniej odpowiednich momentach, co niejednokrotnie prawie gubi jej ukochanego synka. Jako przygarbiona, nadopiekuńcza staruszka wnosi na scenę dużo czarnego humoru, którym bez ostrzeżenia zaraża.

Uścisk dłoni z Addamsami

Przez cały spektakl miałam wrażenie, jakbym oglądała teatralną wersję „Rodziny Addamsów”, a wszystko przez charakterystykę aktorów. Takich rzeczy się nie zapomina – każdy miał twarz pomalowaną na biało, a wokół oczu zrobione czarne obwódki. Wyglądali wprost upiornie, co w odniesieniu do formy musicalu jest komplementem.

Co do sprawy zombie, to niektóre postaci zachowywały się w ten sposób, co one. Miejskami powolny sposób wypowiedzania wyrazów i dziwaczne ruchy, a czasem chód po prostu jak w slow motion. Chodzi mi rzecz jasna o niezapomnianych żandarmów, których wejścia stanowiły komiczne przerywniki głównych wątków. Nie wiem dlaczego, ale policjanci w przedstawieniach Capitolu często są najbardziej zapadający w pamięć. Przypadek?

Nie sądzę.



Ileż tu brzydkich fałd!

Pod względem muzycznym również się nie zawiodłam. Muzyka idealnie wpasowywała się w nastrój spektaklu i jego formę. Piosenki we „Frankensteinie” to utwory tego typu, których melodia kompletnie nie odzwierciedla ich treści. Często przypominają też chwytliwe piosenki disneyowskich złoczyńców pierwszej klasy. Radzę więc być przygotowanym na niespodzianki w postaci wesołej piosenki o fałdach mózgu... mordercy. Nie szczędzono dosadnych opisów ich powstawania. Takie połączenie zostaje w pamięci na długo i nie opuszcza widza nawet po dotarciu do domu. A to sprowadza się tylko do jednego...

... czyli odtwarzania ich w kółko z płyty (jeśli ktoś się w taką zaopatrzył) albo z internetu, w którym są legalnie dostępne. Kolejna rada – gdy przymierzasz się do słuchania nagrań, poczekaj, aż zostaniesz sam w pokoju albo załóż słuchawki. Obejdzie się bez interwencji: „A jakich strasznych rzeczy ty słuchasz?!”.
No i teraz się tłumacz, człowieku, że słuchasz historii Odciętej Ręki...



Ja – panem stworzenia?

Przez cały musical obserwujemy przemianę Wiktora Frankensteina. Jego drogę do odkrycia. To, co później z nim robi. I to, co ono samo robi z głównym bohaterem. Na samym początku naukowiec jest niepewny swojego odkrycia, wręcz nie dowierza. Później, kiedy zaczyna swój eksperyment z ciałem szkolnego woźnego, sam siebie nazywa panem stworzenia. Stawia siebie na pozycji boga – a to nigdy nie kończy się dobrze.

Już podczas ożywiania Monstrum słyszy się szaleńczy śmiech naukowca. Jest pewny swego, tak samo jak pozornie pewny swoich wyborów życiowych. W kolejnym akcie własne



życie, tak samo jak potwór, wymyka mu się spod kontroli. Dążąc do stworzenia istoty całkowicie podporządkowanej sobie, popełnia jeden błąd. Nie daje mu wolnej woli, więc Frankenstein sam musi ją zdobyć, poddając sobie tego, który go ożywił.

W końcu, gdy Monstrum nakazuje „Stwórcy” zrobić cały ród jemu podobnych, sytuacja obraca się przeciwko Wiktorowi. Role się odwracają. Teraz to potwór jest panem, a naukowiec zostaje mu podporządkowany i jest w stanie tylko poruszać się na rozkaz Frankiego i bezwładnie otwierać usta. Staje się tym, co sam stworzył.

Finałowa piosenka, o zgrozo, jeszcze bardziej skłania do myślenia i przeraża.

Chwycić pod rękę Frankensteina

Oto lista rzeczy, których najbardziej się obawiałam, idąc na ten spektakl:

- będzie tak mroczny i tak przytłaczający, że po prostu się znudzi
- piosenki nie wpadną w ucho
- i najważniejsze: nie będzie chociaż w połowie tak dobry, jak „Mistrz i Małgorzata”.

„Frankenstein” jednak ani trochę mnie nie zawiodł, chociaż moje oczekiwania były naprawdę wygórowane. Pośród naukowych wywodów, wiązań chemicznych i błyskawic prądu udało mi się znaleźć coś dla siebie. Nie spodziewałam się tego, bo przez część pierwszego aktu przekonywałam się do ciemniejszej strony Capitolu. Jeśli myślicie, że ten musical skradnie Wasze serca, mylicie się. On robi tak samo jak Monstrum. Bez skrupułów je wyrwie, bo to przecież wyrwacz serc z prawdziwego zdarzenia.

Chwyciłam pod rękę Frankensteina, a potem dałam się porwać w Tango Kwas – i nie zawiodłam się.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A

Olbrzym? A może liliput?

Nie wyjdiesz tam. Nieważne, że starannie przygotowałeś się do tego występu i wiesz, że wszystko doskonale potrafisz. Nie zważasz na to, że gdybyś popełnił błąd, to nikt na to nie zwróci uwagi, a nawet jeśli – kolejnego dnia zdąży to odejść w zapomnienie. Wiesz tylko tyle, że na widowni siedzą Twoi przyjaciele, znajomi i osoby, które kojarzysz z widzenia, a każdy z nich jest trzykrotnie większy od Ciebie i spowity w cieniu. Ty z kolei stoisz malutki w świetle reflektorów narażony na kpinę z ich strony.

Zabawne, że niektórzy z nas właśnie w ten sposób postrzegają wszelkie okazje do występów publicznych, od udziału w sztuce, przez przeprowadzenie prezentacji, po tak codzienną sprawę jak odpowiedź przy tablicy. Do tego, samo myślenie o tym, że mieliby się znaleźć w takiej sytuacji przyprawia ich o dreszcze. Ale dlaczego tak się dzieje?

To wszystko wina panoramy społecznej!

Każdy z nas podświadomie wytwarza w swojej głowie wyobrażenia o otaczających go osobach, zwane również personifikacjami, i opracowuje w ten sposób swoją własną panoramę społeczną. To, w jaki sposób wyobrażamy sobie danego człowieka, ma ogromny wpływ na to, jak go postrzegamy, jak na niego reagujemy i jak go traktujemy. W efekcie często czynimy personifikację rzeczywistością.

Przykładowo, jeżeli myślimy o kimś, że jest silniejszy od nas i niebezpieczny, będziemy spięci i sztuczni w kontaktach z tą osobą. Ona odpowie na to reakcją obronną, stając się nieufna i agresywna, łącząc tym samym naszą wizję z rzeczywistością.

Tak samo, gdy czujemy się od kogoś lepsi i ważniejsi, nieświadomie dajemy temu wyraz w każdym geście i słowie. Przez to faktycznie spychamy drugą osobę na margines i sprawiamy, że często ona również zaczyna postrzegać nas jako kogoś będącego wyżej w hierarchii społecznej.

Nie wierzysz? Sprawdź sam!

Spróbuj sobie wyobrazić dowolną osobę z Twojego otoczenia. Jej wizja w Twojej głowie może wyglądać na całkiem oderwaną od rzeczywistości – nie walcz z tym, tak właśnie ma być. To wyobrażenie, które przyjdzie Ci na myśl jako pierwsze, pokazuje Twoje podejście do tej osoby.

Pomyśl o tym, jak się czujesz w jej obecności i jaka się wydaje być. Denerwujesz się? Czujesz się niepewnie? Jesteś zrelaksowany? Może nie jesteś w stanie poczuć absolutnie nic?

Sprawdź, gdzie stoi w stosunku do Ciebie. Jak daleko się znajduje? Z której strony – prawej, lewej, a może z tyłu?

Pomyśl o tym, jakiej jest wielkości i na jakiej wysokości znajdują się jej oczy. Czy patrzy na Ciebie z góry? A może jest wręcz odwrotnie?

A jak ma się „oświetlenie”? Czy owa postać jest jasna? A może jest zacieniona, podczas gdy ty znajdujesz się w mocnym świetle słonecznym?

Gdy już będziesz znać odpowiedzi na powyższe pytania, poeksperymentuj z tym wyobrażeniem. Postaraj się przemieścić ową postać, „pobawić” się jej wzrostem i oświetleniem, cały czas zwracając baczna uwagę na swoje odczucia.



Moje wymądrzanie się, czyli wyciągam wnioski za Ciebie

Prawdopodobnie czułeś się pewniej, gdy wyobrażona osoba była Twojego wzrostu lub niższa, a jej oczy znajdowały się na jednym poziomie z Twoimi bądź patrzyłeś na nią z góry.

Jeżeli znajdowała się po Twojej lewej stronie lub była zacieniona, prawdopodobnie budzi u Ciebie negatywne uczucia, gdyż w naszej kulturze utarło się, że lewa strona jest gorsza, a mrok jest synonimem zła. Jeśli natomiast stała po Twojej prawej albo była oświetlona przez światło dzienne, myślisz o niej w pozytywnych kategoriach i czujesz do niej sympatię. Gdy personifikacja znajduje się za Tobą, może być wsparciem lub właśnie całkowitym przeciwieństwem – obiektem strachu i prześladowających Cię negatywnych myśli, jeśli jest to osoba, za którą nie przepadasz.

Gdy żywimy sympatię do danego człowieka, czujemy się lepiej, gdy ustawimy go blisko nas. Kiedy zaś kogoś nie lubimy – im dalej go ustawimy, tym lepiej. W końcu, co z oczu, to z serca.

Panie, po co to komu potrzebne?

Skupiając się na panoramie społecznej i ją zmieniając, docieramy do jednej z „szuflad” w naszym mózgu, którą możemy badać i, w miarę ćwiczenia, edytować tak, by czuć się jak najswobodniej. Trudno uwierzyć w to, że mamy wpływ na to, kogo postrzegamy jako autorytet, kim się przejmujemy i co przeżywamy, gdyż jak dojdzie co do czego, często zdajemy się być bezwolnymi pionkami w rękach życia i nie potrafimy trzymać emocji w ryzach. W rzeczywistości jednak metoda panoramy społecznej jest jednym ze sposobów na to, by zyskać większą samoświadomość i objąć kontrolę nad czymś tak instynktownym, jak wytwarzanie stereotypów i postrzeganie swojego otoczenia. To do nas należy wybór, czy wolimy to wykorzystywać, czy męczyć się z ogromnym stresem za każdym razem, gdy mamy przemówić lub porozmawiać z kimś, kogo z niewiadomych powodów postrzegamy za zagrożenie.

EMILIA RYNKIEWICZ – 1 A

Źródło: „Pewność siebie” – Artur Król

Historia zapomnianej sławy

Urodziła się daleko, na terenach dzisiejszej Ukrainy pod koniec XIX wieku. Na początku XX wieku była uznawana za najbardziej fotogeniczną aktorkę na świecie. Uważano ją za niezwykłą piękność, a dodatkowo miała śliczny głos. Została wspomniana w Oksfordzkiej Historii Kina Światowego, jej zdjęcia wiszą w Muzeum Kinematografii w Turynie, zagrała w około 60 filmach i była naprawdę znaną sopranistką, występującą m. in. w La Scali, a mimo to niewielu ludzi w ogóle o niej słyszało. Poznajcie Helenę Woyniewicz, która zmieniała mężczyzn jak rękawiczki i zawsze umiała postawić na swoim.

Skandal na starcie

Uważała, że urodziła się w 1893 roku, jednak według aktu urodzenia była sześć lat starsza.

W 1903 roku jej rodzina przeprowadziła się do Warszawy z rodziną, a ciotka Heleny zauważyła jej talent muzyczny. Wkrótce dziewczynie udało się dołączyć do chóru w „Salomei” w Filharmonii. Gdy jej ojciec dowiedział się, że zaśpiewała w skandalicznej operze, wysłał ją na Kursy Handlowe. Tam podczas strajków przeciwko uczeniu po rosyjsku poznała swojego przyszłego męża, wykładowcę z Wyższej Szkoły Handlowej, Juliana Makowskiego. Po ślubie jednak okazało się, że bardziej ceni własną karierę i się rozwiodła.

Pewnego dnia u przyjaciela rodziny, Aleksandra Herza, właściciela studia filmowego w Warszawie, poznała Giovanniego Vitrottiego, nadwornego fotografa włoskiej rodziny królewskiej, który przejeżdżał przez Polskę do Rosji, by dla cara kręcić filmy dokumentalne. Vitrotti przyjął Helenę do siebie jako asystentkę. Wkrótce sama zagrała w filmach, jednak prawdziwy rozgłos uzyskała po premierze *Romanticismo* z 1915 roku. Jej twarz bardzo spodobała się publiczności, a że miała piękny głos, którego nie było można usłyszeć w filmach niemych, zaczęła pojawiać się we włoskich filharmoniach i operach.

Powroty i odloty

Wraz z nadejściem Mussoliniego, tak jak wielu włoskich artystów, przeniosła się do Niemiec i tu kontynuowała pracę. Dodatkowo pomogła rosyjskiemu producentowi Joseffowi Ermolieffowi w ucieczce z Krymu do Francji razem z całą ekipą filmową liczącą ok. 200 osób.

W Monachium Helena poznała swojego kolejnego męża, Karla Falkenberga, z którym wystąpiła w czterech filmach (ich związek również nie trwał długo). Ze względów politycznych przeniosła się z Niemiec do Polski i również zagrała w kilku filmach, obecnie uważanych za zaginione.

Umowy i kontrakty

Dzięki swojej popularności w Londynie udało się jej zdobyć odpowiednie kontakty, by „załatwić” dla Polski 38 czołgów firmy Vickers-Amstrongs i wyjść za przedstawiciela tej firmy. Po wkroczeniu armii niemieckiej do Polski, została aresztowana przez Gestapo i wysłana do obozu koncentracyjnego za związek z drugim mężem, który miał żydowskie korzenie. Do końca wojny Makowska przebywała jeszcze w dwóch obozach.

Potem wróciła do Włoch i grała niewielkie role. W latach 50. wyjechała do Londynu, gdzie uczyła śpiewu i gry na fortepianie. Po śmierci męża wróciła do Rzymu, a dzięki wstawiennictwu Humberta II dostała pozwolenie na zamieszkanie w Watykanie. W tym czasie grała np. samą siebie w „Walizce snów” u boku Mastroianiego czy w „Żegnaj, Firenze”, który okazał się jej ostatnim filmem.

Jak wiele aktorek i aktorów z początków XX wieku Helena Makowska przeżyła dość skomplikowane i ciekawe życie. Ich historie są bardzo ciekawe i warto w wolnej chwili je zgłębić. Nigdy nie wiadomo, na jakie tajemnice z przeszłości można natrafić...

MARIA ŚWIĘCICKA, LO Batory

Odnaleźć swoje Avonlea

Jako uczennica szkoły podstawowej w ogóle nie rozumiałam fenomenu uwielbianej na całym świecie powieści Lucy Maud Montgomery. Traktowałam ją po prostu jako jeden z tych klasyków literatury dla dzieci, który warto przeczytać i znać. Nie porwała mnie specjalnie i nie sięgnęłam po kolejne tomy serii. Oczywiście obowiązkowo obejrzałam ekranizację z Meghan Follows w roli głównej, jednak i to jakoś nie zbliżyło mnie do książki. Więc bardzo dobrze, że Moira Walley-Beckett wzięła sprawy w swoje ręce.

Najpierw wejźmy na drzewo...

Od potwierdzenia trzeciego sezonu czas minął zaskakująco szybko i ani się obejrzałam, we wrześniu powrócił serial „Anne with an E”. To znaczy nie do końca, bo tylko do Kanady, gdzie nadawała go telewizja CBC. Oczywiście fragmenty odcinków, za pośrednictwem fanów z kraju Ani Shirley, pojawiały się w internecie, ale o tym ciii...

Bądź co bądź, w ciągu trzech miesięcy poznałam wszystkie najważniejsze sceny. Nic więc dziwnego, że oglądanie serialu na Netflixie nie trzymało mnie w napięciu tak jak co tygodniowe oczekiwanie na kolejne perypetie dziewczyny z Wyspy Księcia Edwarda. Styczniowe seanse traktowałam raczej jak spotkanie ze starymi przyjaciółmi i ucztę dla oczu. Jednak z tyłu głowy miałam świadomość, że jest to już nasze ostatnie świeże spotkanie – Netflix, zgodnie z nową modą, kasuje niektóre produkcje. Tak samo stało się z „Anne with an E” – prawdopodobnie już nie zobaczymy kolejnych przygód rudowłosej marzycielki. Prawdopodobnie, bo coraz więcej fanów organizuje się przeciwko decyzji serwisu streamingowego. Mimo to szanse na powrodozenie są nikłe.



... a potem może porozmawiamy

Mówi się, że każde pokolenie ma swoją „Anię z Zielonego Wzgórza”. Jest to w końcu jedna z najczęściej ekranizowanych powieści, zaczynając na wersji aktorskiej z 1934 roku, na anime kończąc. Ja wychowałam się na najbardziej popularnym filmie z 1985 roku z Megan Follows jako Anią i Johnatanem Crombie, czyli Gilbertem. Dziś, choć ta wersja to klasyk kinematografii, wielokrotnie zresztą wznawiany, widoczna była potrzeba kolejnej ekranizacji na miarę XXI wieku. Takiej, która przemówi do nowego pokolenia.

Wbrew pozorom, wielokrotnie już próbowano, ale zwykle kończyło się to fiaskiem. Starania, by ukazać tę historię inaczej niż w filmie wyreżyserowanym przez Kevina Sullivana, sprawiały, że wspinano się na wyżyny absurdu, jak to było w przypadku adaptacji pt. „Ania z Zielonego Wzgórza:

Nowy Początek”. Nie ukrywam, że gdy dowiedziałam się o kolejnej ekranizacji, tym razem stworzonej przez Netflix, byłam sceptyczna. Ale czy miałam rację?

Albo posiedźmy w ciszy...

Pierwsze dwa sezony „Anne with an E” urzekły mnie głównie z powodu niezwyklej scenografii i kostiumów. Akcja dosłownie przenosi nas do kanadyjskiej wsi z końca XIX wieku, gdzie zimy są bajecznie białe i mroźne, a wiosny soczyście zielone i uśnane dywanami z kwiatów. Domki subtelne, drewniane i cukierkowe. Ludzie mieszkający w nich żyją bez pośpiechu, od lat w tym samym towarzystwie i uprzedzeni do tego co nowe. Właśnie do takiego magicznego, klimatycznego Avonlea swoją Anię Shirley wysyła reżyserka.

Wielu jednak zarzuca Moirze Walley-Beckett, że za bardzo odbiega od fabuły, co swoje apogeum ma w drugim sezonie. Serialowa „Ania, nie Anna” ma być lekarstwem na całe zło świata, od wątków LGBT po rasizm. Tego wszystkiego jest miejscami za dużo, co czyni serial znacznie mniej subtelnym. A wszystko za pośrednictwem historii jednej rudowłosej dziewczynki.

W trzecim, finałowym sezonie, reżyserka odchodzi od tej koncepcji i powraca do wzorców z pierwszej serii. Jest to jednocześnie odświeżenie historii Ani Shirley, ale bez porzucania wątku Cuthbertów (którego w poprzednim sezonie było za mało). Tym razem Ania kończy szesnaście lat i ze swoją klasą przygotowuje się do egzaminów na studia w Queen’s College. Pojawiają się pierwsze zauroczenia, pocałunki kradzione za kramami na jarmarku, zakazane spotkania na leśnych ścieżkach i chwile miłosnych zawodów.

Powracają stare postaci - również te, których nie ma w książkach. Jest Cole, przyjaciel Ani, inny niż wszyscy. Znowu spotykamy Sebastiana, przybysza z Trynidadu. Poznajemy też Kak’wet, czyli dziewczynkę z indiańskiego plemienia. Odwiedzamy rodzinny dom Beynardów, rodziców parobka Cuthbertów.

Następuje rozwój relacji Ani i Gilberta. Sytuacja jednak komplikuje się przez postać Winifred Rose – bogatej, błyskotliwej panny z Charlottetown... Ania musi się zdecydować, czego tak naprawdę chce w życiu. Tragicznego romansu rodem z powieści, które tak bardzo kocha, czy świętego spokoju.

Główna bohaterka pragnie dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości, co powoduje kolejne problemy na Zielonym Wzgórzu. W tym sezonie motywem przewodnim jest strach przed stratą najbliższych i walka z oswojeniem świata po odejściu ważnych dla nas osób. Dochodzi do ważnych wyznań, często wypowiedzianych przez

... i słuchajmy naszych myśli

Aktorzy, których miałam przyjemność oglądać na ekranie, to jeden z najlepszych castingów, jaki widziałam w życiu. Wyglądają jak postaci wyjęte z książki i niezwykle dobrze oddają charakter swoich bohaterów. Już w pierwszym sezonie urzekli mnie Mateusz (T. R. Johnson) i Maryla (Geraldine James). On - samotny, cichy i wycofany. Nie mówi dużo, jakby się bał. Poza tym, zdominowany przez swoją siostrę, przesadnie szorstką i oschłą. Już sam ton, jakim mówi Maryla, to opis jej osobowości – jest wychowawczy i pouczający. Karcący, ale jednocześnie pełen miłości do Ani, którą Maryla traktuje jak córkę. To właśnie panna Cuthbert najdłużej przekonuje się do rudowłosej sierotki. Kolejną postacią, którą uwielbiam, jest Małgorzata Lynde. Choć w pierwszym sezonie wydawała się plotkarą, na nikim nie zostawiającą suchej nitki, okazuje się osobą, którą dobrze mieć po swoje stronie.

Niezwykle jest to, w jaki sposób grają aktorzy młodego pokolenia. Świadczy to o dobrym podejściu reżyserki do nich, co jest bardzo trudnym zadaniem. Umiejętnie poprowadzony młody aktor to świetny aktor, czego rezultaty widzimy na ekranie. Diana jest urocza, stonowana i rozsądna, ale daje się porwać fantazjom swojej przyjaciółki od serca. Gilbert przedstawia się widzom jako marzyciel z duszą podróżnika, w odróżnieniu od bardziej zaważadackiego młodego Blythe’a Johnatana Crombiego.

Moje serce skradła Ryan Kiera Armstrong, czyli serialowa Minnie May, siostrzyczka Diany. To istny aniołek z różkami, łakomczuch rzucający się na góry ciasteczek i przyprawiający swoją matkę o palpitanie serca. Nie dajcie się zwieść jej uroczym uśmiechom.



Takie jest nasze życie

Ania Shirley-Cuthbert, wykreowana przez Amybeth McNulty to już nie ta sama sierotka o naturze niepoprawnej marzycielki, jaką w książkach serwuje nam Lucy Maud Montgomery. Tutaj Ania ma naturę... niepoprawnej aktywistki społecznej. Dziewczyny walczącej o swoje miejsce w świecie i pragnącej być usłyszana. Czasem mówi jednak tak głośno, że nie jej rude włosy, ale nieposkromiony, płomienny charakter i niewyparzony język staje się przyczyną jej problemów. A Ania ma prawdziwy dar do pakowania się w kłopoty.

Główna bohaterka to outsiderka – przybywa pewnego pięknego, letniego dnia pociągiem do idyllicznej wioski na prowincji Kanady, a tam od początku nie ma łatwo. Kiedy jej marzenia zdają się spełniać, okazuje się... że nie jest chłopcem, którego chcieli adoptować Maryla i Mateusz Cuthbertowie. Mimo to Ania, pragnąc akceptacji przez innych i przez samą siebie, nie przestaje szukać. Szuka na Zielonym Wzgórzu i w Avonlea swojego domu, miłości i ciepła. Znajduje je. Znajduje też przyjaciół, choć po wielu niepowodzeniach i zgrzytach między nią a mieszkańcami miasteczka. Niejednokrotnie musi ratować swoją reputację oraz udowodniać, że jest coś warta.

Miejscami ma się wrażenie, że ogląda się tak naprawdę serial o współczesnych nastolatkach, jedynie przebranych w kostiumy z XIX wieku. Nieczęsto ma się do czynienia z takim zabiegiem w kinematografii. Ania staje się dziennikarką. Już nie tylko marzy i zaczytuje się w romansach, ale bierze sprawy w swoje ręce. Chce zmieniać świat na lepsze. Robi to co słuszne, jak mówi o niej jeden z bohaterów.

„Ania, nie Anna” to jeden z tych seriali, który niesie ze sobą ważną lekcję, omówioną znacznie szerzej niż w pierwowzorze literackim. Ania znajduje swój dom – miejsce, do którego zawsze może wrócić, gdy będzie tego potrzebowała. Swój mały zakątek na ziemi, otoczony Jeziorem Lśniących Wód i Białą Drogą Zachwytu – Avonlea. Mimo początkowych trudności w życiu, wie, że ma swoje bratnie dusze i to właśnie nimi się otacza. Kocha świat i świat kocha ją. Nie boi się niczego nowego. Daje odwagę, żeby przezwyciężyć swoje lęki, spełniać marzenia, ale i przepraszać. Ania nie przestaje iść naprzód.

Bo w końcu w czołówce serialu zespół The Tragically Hip śpiewa, że „... wyprzedzasz swoje stulecie”.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A



Analiza porównawcza

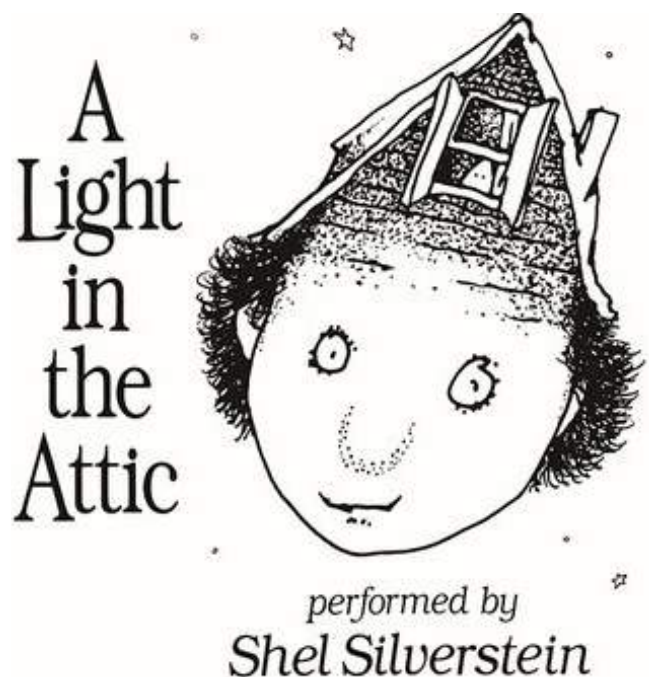
Kupię sobie nowych rodziców!

Według Barbary Skargi współczesny świat to: „... sfera odwróconych ludzkich wartości, świat bez nadziei, bez litości dla innych, świat życia w pancerzu obojętności”.

Pojęcia takie jak globalizacja, komercjalizacja konstytuują rzeczywistość człowieka współczesnego. Jest to jednostka zdeterminowana przez kulturę masową oraz mass media, bezrefleksyjnie podążająca za ustalonymi, uniwersalnymi wzorcami. Jak zauważa poeta Marcin Świetlicki w wierszu „McDonald’s”: „...jestem hamburgerem [...] podobnie śmiertelnym do wszystkich innych hamburgerów”. Podmiot liryczny porównuje współczesny świat do znanej restauracji typu fast-food, w której społeczeństwo stanowi jedynie masowo produkowane burgery. Szerząca się globalizacja jest więc przyczyną zaniku indywidualizmu i myślenia jednostkowego. Podobny obraz współczesności został uwidoczniony w wierszu wrocławskiego poety Tadeusza Różewicza „Walentynki”. Święto zakochanych przedstawiono jako komercyjne szaleństwo, podczas którego: „Amerykanie kupują Amerykankom/biżuterię, bieliznę, słodycze/wszystko w kształcie/czerwonego serduszka”. Zastosowane w wierszu onomatopeje „cip cip cip” służą banalizacji święta. Przyczynia się ono do wypaczenia wartości – rodziny, miłości, pogłębiając chaos aksjologiczny człowieka. Globalizacja jest zjawiskiem, które w znaczny i znaczący sposób oddziałuje na kondycję współczesnego świata. Jej wpływ na codzienną egzystencję ukazuje bajka „Clarence” Shel Silversteina oraz wiersz „Na Mariahilferstrasse” Ewy Lipskiej.

Tytuł utworu „Clarence” jest metatekstem, wprowadza bohatera lirycznego, Clarence’a Lee, amerykańskiego chłopczyka z Tennessee, pałającego głębokim zamiłowaniem do reklam telewizyjnych. Komercyjne produkcje wzbudzają w nim podziw: „rozwarłe oczy wlepił w ekran telewizora”, pożądanie, mają one wpływ na jego postępowanie: „każdy towar tam reklamowany/ sprowadzał zaraz drogą wysyłkową”. Dominantą kompozycyjną bajki jest enumeracja zakupionych przez chłopca produktów: krem, brylantyna, proszek, płyn do płukania. Różnorodność przedmiotów wprowadza chaos, nieład, są to produkty wadliwe, niespełniające

swojego podstawowego przeznaczenia (proszek do czyszczenia psa działa pozytywnie na zamieszkujące jego sierść pasożyty), rozpowszechniają one fasadowość i zakłamanie („stanik, co wypukła biust”). Reklamy są w stanie skłonić chłopca do zamówienia „dosłownie wszystkiego”, przedstawiając rzeczywistość nierealną, wyidealizowaną, opartą na ludzkich pragnieniach i wyobrażeniach. Wpływają nie tylko na sferę materialną, ale również na kształtowanie relacji międzyludzkich. „t ogarnięty globalizacją i konsumpcjonizmem. Pewnego dnia reklama: „TRWALSZY TATO! MILSZA MAMA!” skłoniła chłopca do zamówienia nowych rodziców. Rodzina przedstawiona została jako lalki, roboty, maszyny, które ulegają konserwacji i wymianie na nowe modele. Gdy przyszła nowa paczka, ulepszonych, liberalnych, niewymagających i nieograniczających rodziców, stara para została „opylona na pchlim targu”, niczym niepotrzebne przedmioty.



Reklamy przyczyniają się do wypaczenia w dziecku fundamentalnej wartości – rodziny, propagują liberalne podejście, bezstresowe, bezobowiązkowe wychowanie jako prawidłowe, dające szczęście, namawiają: „ciesz się życiem jak nasz Clarence Lee”. Postać chłopca można odczytać jako alegoryczne przedstawienie współczesnego człowieka. Uległ on infantylizacji, podobnie jak dziecko jest naiwny, łatwowierny, skoncentrowany wyłącznie na własnych potrzebach. Zastosowanie najpowszechniejszego azjatyckiego nazwiska Lee oraz amerykańskiego pochodzenia hiperbolizuje globalność zjawiska. Chłopiec jest jednostką bezrefleksyjną, nieposiadającą własnej opinii, podatną na zewnętrzne wpływy, zdominowaną przez świat komercji, świa

Z bajką „Clarence” koresponduje wiersz Ewy Lipskiej „Na Mariahilferstrasse”. Tytuł utworu również jest metatekstem, pozwala na określenie sytuacji lirycznej. Miejscem akcji wiersza jest reprezentatywna ulica zakupowa Wiednia. Podmiot liryczny to obserwator tłumu przemierzającego aleję handlową w okresie „świętecznego tłoku”. Intensywny ruch uliczny porównany został do „elektronicznego zwarcia”. Uczestnictwo w zakupach stanowi dla obywateli wydarzenie sakralne, „liturgię zakupów”. Podobnie jak w bajce „Clarence” dochodzi do wypaczenia fundamentalnej wartości – wiary. Zestawienie sfery świeckiej i sakralnej uwydatnia niepoważny stosunek współczesnego człowieka do religii. Zakupy są dla niego odpowiednikiem mszy świętej, odbywa je z czcią, powinnością. „Uroczystości” towarzyszą boscy pośrednicy - „pulchne anioły” oraz Św. Mikołaj. Jego współczesna hagiografia daleka jest od ascetycznej „Legendy o św. Aleksym”. Nie ma w niej cudów towarzyszących życiu, niezwykłej śmierci. Dzięki globalizacji oraz komercjalizacji wizerunek Św. Mikołaja uległ banalizacji, stał się jedynie chwytem marketingowym: „rozdaje nam ulotki”. Reprezentowane przez świętego wartości takie jak: szacunek, bezinteresowność, zostały zatracone na

rzecz zachłanności oraz konsumpcjonizmu. Obraz zarówno świętego jak i rodziców został wypaczony na rzecz osiągnięcia korzyści materialnych. Oba utwory przedstawiają świat „skrojony na naszą miarę”, próba rozpowszechnienia wyidealizowanych przez człowieka, uniwersalnych wzorców nie powiodła się, wręcz przeciwnie, spowodowała ich modyfikacje i zatrącenie pozytywnego znaczenia. Współczesność przysposobiona została w „jarmarczą czapkę”, otaczająca rzeczywistość jest absurdalna, przepełniona doczesną rozrywką, a żyjący w niej człowiek stanowi jednostkę ograniczoną, ogarniętą chaosem aksjologicznym, pozbawioną granic moralnych.

Francuski malarz Paul Gauguine za pomocą swojej twórczości starał się odpowiedzieć na fundamentalne pytania filozoficzne: „Kim jesteśmy?”, „Dokąd zmierzamy?” Po omówieniu utworów Shela Silversteina oraz Ewy Lipskiej można dojść do wniosku, że kondycja współczesnego świata oraz człowieka jest pesymistyczna. Hierarchia wartości, jaką powinien kierować się współczesny człowiek, została zaburzona przez globalizację, chęć maksymalizowania zysków, a także tendencje do ustalania uniwersalnych wzorców. Zjawiska te widoczne są także w wierszu polskiego noblisty Czesława Miłosza „Normalizacja”. Poprzez zestawienie dwóch perspektyw czasowych, poeta hiperbolizuje skutki zjawiska normalizacji: zanik bezpieczeństwa, empatii, indywidualizmu oraz szerząca się nietolerancję. Za ich przyczynę można uznać globalizację, centralizację kanonów piękna oraz wzorców postępowania. Twórcy ostrzegają nas przed niebezpiecznymi konsekwencjami globalizacji, wykorzystując w tym celu rozmaite formy m. in. bajkę czy wiersz. Jednakże, czy współcześnie, w erze internetu, mass mediów oraz portali społecznościowych ich działanie ma przynosić pozytywne rezultaty?

IZA KOSZYKOWSKA – 3 D



Mariahilferstrasse

**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Kacper Kowalski.

Zastępcy red. naczelnego: Maksymilian Skica,
Małgorzata Wieczorkiewicz.

Redaktorzy: Wiktoria Cymerman, Bartosz Kaczmarek,
Emilia Rynkiewicz, Daniel Witkowski.

Sekcja filmowa: Maciej Proćków, Mateusz Torski.

Technicy komputerowi: Michał Jagodziński,
Kamil Janowski.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.